

- I co?! Co ma niby być dalej? Spodziewasz się, kurka, czego? Mam ci TO opowiedzieć? Daj spokój, nie rób jaj. I tak nie uwierzysz... A jeśli nie zamierzasz uwierzyć, że wszystko TO jest prawdą i tylko prawdą, to dla swojego i mojego dobra odpiemnicz się od razu.

Patrzył mi w oczy i czekał. Ja, milcząc, również czekałem dotąd, aż nie spuszczał ze mnie wzroku, zaczął:

- Było to tak. Znałem ci ja kiedyś gościa. Miał na imię Zenek. Dasz wiarę?! ZENEK! Eudzie, co za imię!!! Nawet mi, choć go znałem, chce się śmiać! Zenek... - rzucił jeszcze, jakby chciał po raz tysięczny wypróbować brzmienie tego imienia i po raz tysięczny ustosunkować się do niego. - Wszyscy na niego mówili Cham, choć nie wiem, dlaczego. Nie brzmi to dobrze, więc dalej będę mówił: Hum, Zenas Hum. A więc... - zaczął jakby od początku, lecz skończył raptem, bo się odezwał:

- Nie wiesz, kolku, że zdania od "więc" się nie zaczyna? Tu spojrzal na mnie litościwie, głową pokiwał i zimno patrząc mi w oczy, czekał, aż zgaśnie mój głupawy, pełen triumfu uśmiezek. Zgasł.

- Powinieneś go właściwie znać, bo... - tu znów przerwał, widząc moje pełne zapału, przeczące ruchy głową. - Nie znalazł go? - zapytał szczerze zawiedzionym głosem, a ja raz jeszcze szczerze zaprzeczyłem. Widział, że leję w gacie ze śmiechu.

- Kurka! Nie opowiadam dalej...

- Dej se luz! Już więcej nie będę - pospieszyłem z zapewnieniem, przerażony perspektywą, że przyjdzie mi się nudzić przez najbliższe dwie godziny.

Spojrzal na mnie uważnie, a ponieważ lubił gadać, nie bardzo chciał dostrzec, że dalej leję, zresztą starałem się, aby nie było tego po mnie za bardzo widać.

- Jak mogłeś go nie znać? - zapytał czujnie i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: - Nieważne. Dość, że Zenas BYŁ i widywało się go w Miasteczku. Nikt właściwie nie wiedział, skąd się wziął. Pojawił się nie wiadomo jak, mieszkał nie wiadomo gdzie i żył nie wiadomo z czego. Menel, rzec by można, lecz z nim cały ból polegał na tym, że meneałem nie był.

- Czemu nie był? - wpięprzyłem się głupawo w słowo.

- No, nie był. Chyba nie był... Nie wiem. W każdym razie nie w takim sensie, w jakim się to rozumie.

- Czyli!'

- No... zawahał się. - Nie wiem! Menelajak zobaczysz, to wiesz, że to menel. a on... on tylko za pierwszym razem sprawiał

takie wrażenie i chyba dlatego ludzie go wzięli na języki.

- A idź w cholerę, nie opowiadam!

- O co ci chodzi? Co ja takiego powiedziałem?

- Jaja sobie robisz!

- Jakie znowu jaja? Nie wiem, kurka, o co ci biega: menel, nie menel...

Dobra! Żeby cię! No, pętał się tu i tam, i jak byś na niego nie patrzył, i jak go nie wachał, nigdy nie śmierział, nigdy pijany nie był, nigdy nie miał sinoczerwonej twarzy i nigdy o nic nie prosił. Nawet z fajką nikt nigdy go nie widział. Nie budził litości, lecz przyciągał wzrok, a kiedy już na niego spojrzaleś, zaraz galy zaczynały ci latać i, liżąc wzrokiem szare płyty chodnika, odbijałeś w inną stronę, choćby ci po drodze nie było. Pewnie dlatego ludzie go tak nie lubili i pewnie stąd ten przydomek Ch... tłum.

- To mówisz, że w Miasteczku taki egzemplarz bywał? - zapytałem.

- Pff! - psyknąwszy-parsknąwszy skonstatował mój wtęret. Żeby tylko bywał! Przez dwanaście miesięcy zdążyli poznać go wszyscy, a szumi po jego zniknięciu pewnie do dziś. co już. będzie ze dwa lata, jak wsiąkl bez śladu.

- To co z nim w końcu było!'

- Co było... co było... - przedrzeźnił mnie. - Żeby ja. lub ktokolwiek to wiedział. Doszło do tego, że kiedy rozmawiało się ze znajomymi i zabrakło tematów do rozmów, to rozmawiało się o Zenasie Humie:

"Te, wiesz co? Idę ja sobie wczoraj koło ósmej do marketa na zakupy, idę, patrzę, a tu na rogu Lipowej i Akacyjowej, na pieńku po Starej Lipie, co to ją wycięli, kiedy ją dwa lata temu wichura połamała, leży coś szarego. Odrasta, mówię sobie, czy co? Podchodzę bliżej, a tam siedzi Zenas. Siedzi i patrzy na mnie. A, kurka, mówię sobie, dupa, niech patrzy i wałę dalej, a ten dalej się we mnie wlepia. Idę, idę, ale gdyby nie było mi głupio, to zrobiłbym zwrot na pięcie, wziął nogi za pas i grzał do chaty, ile sil. Czulem jednak, że on tylko na to czeka, więc nie zważając na nic i nie zwalniając, drałuję dalej. Ale aż mi się zimno zrobiło, kiedy go mijalem. A kiedy przeszedłem, czulem, jak wieri mi dziurę w karku i jak coś zimnego leci mi po plecach. Ażż, by go... cholernego Humal!"

"Ja też go wczoraj widziałem" - odpowiada drugi. "Kejtrucha na spacer wziąłem i idę. Dochodzę ci ja do Figurki, a tam na pieńku, co został po Starej Wierzbie, tej, co ją wycięli dwa lata temu, co to ją wichura w Wielki Piątek połamała. No. tej z dziuplą w środku, cośmy tatowe ómiki próbowali..."

"Wiem, wiem..."

"No! Siedzi nie kto inny jak Zenas Hum. Bym go pewnie nie zauważył, ale Kejtruch nagle się najeżył i zaczął tak jazgotać, że myślałem, że smycz zerwie. Wtedy go zauważyłem. Siedział i patrzył na mnie. Gdybym nie był tak blisko, wziąłbym zawrócił, ale gupio jakoś, ni z tego ni z owego, robić zwrot na widok menela. I idę! Ja idę, pies idzie, ja idę, pies staje i skowyczy. wicc i ja staję, a oczu od Zenasa oderwać nie mogę..."

- No i... - ponagliłem.

A on tylko zerknął na mnie, a widząc, że tym razem „jaj” już nie robię, głowę mam w pasach, ciągnął dalej:

- No i... - zacytował mnie okazało się w końcu, że obaj o tej samej godzinie go widzieli. Ba! Żeby tylko im się to przydarzyło, byłoby pół biedy, ale właśnie na tym polegało całe zamieszanie z Humem, że nie podlegał żadnym prawidłom rządzącym małymi społecznościami, gdzie każdy zna każdego i w każdej sytuacji wie, czego się po kim spodziewać, i kto w jakim miejscu może być. Zenas Hum zaskakiwał, niepokoił i budził ogólny lęk, a w końcu... przerażenie.

Moje zaciekawienie nieco ostygło, bo zaczął przynudzać, więc wciąłem mu się:

- Może bliźniaka ma i obaj wam grali na nerwach? Widać nie był to taki głupi pomysł, bo zastanowił się.

- Nie... - zaczął niepewnie, po czym bardziej zdecydowanie ją kontynuować: - Nie, na pewno nie! Bo musiałoby być ich ze czterech. Opowiadał mi Kmitka, no ten z Żagaj nikowej... - Tu spojrzal na mnie, a ja kiwnąłem głową, że wiem, o kogo chodzi, więc pewniej podjął dalej: - ...że ktoś mu opowiadał, że cztery osoby naraz, w tym samym czasie, widziały Huma ostatniej jesieni, nim zniknął. Wiało ponoć wtedy jak skur...czyś. Młode drzewka nad Kanalem gięły się w pół, a gałęzie Starych Drzew trzeszczały jak skóra w "oficerkach" Kaspra. Pamiętasz Kaspra?

Kiwnąłem potakująco głową i uśmiechnąłem się do tego, co stało mi przed oczyma. Kasper... Gadał coś, a ja uciekłem na chwilę we wspomnienia.

Kasper... powtórzyłem w myślach, by obrazy szybciej zaczęły napływać. Pamiętałem go, a jakże! Trudno było zapomnieć kogoś, kto przez dziesięć lat budził podziw i był wzorem ziszczenia marzeń każdego w okolicy chłopaka, który nie skończył trzynastu lat. Kasper... Jeszcze dziś widzę, jak kroczy w swoim galowym mundurze główną nawą kościoła, ze wzrokiem wlepionym w ołtarz, z twarzą tak pociętą tysiącami zmarszczek, że nawet nie widać było blizn po drucie kolczastym, na który rzucił się podczas ostatniej wojny z Grundarianami, kiedy jego oddział, ruszywszy do ataku, natknął się na zasieki. Podobno kilku ich wtedy było, no takich, co rzucili się na druty, by pozostali mogli przejść po ich grzbietach, lecz tylko on przeżył. I kiedy tak szedł dumny niczym posąg, można by było rzec o nim: Bóg Wojny. Można by, gdyby nie te buty... Pewnie dlatego nie zostałem żołnierzem. Dość że jego buty skrzypiały, i to tak, że poza chłopcami do lat trzynastu, każdy w lawce lał w galoty, gdy po wielu minutach wyczekiwania, Kasper wchodził wreszcie do

kościola. Po latach kapnałem się wreszcie, dlaczego msza o jedenastej miała największe wzięcie. Nawet pod plotami nikt nie stał, by na pierdolach szybciej zeszło te sto minut przepisowej mszy. Nikt nie mógł sobie odmówić widoku Kaspra w jego skrzypiących oficerkach i furazerce za pagonem galowego munduru.

- ... kurka! Nie opowiadaj i zaraz ci przypierdnikuje!.. - ryknęło mi coś nad uchem.

Otrząsałem się i wyostrzyłem wzrok.

- Nie słuchałeś mnie, kurza twoja papa! Normalnie mnie nie słuchałeś!

Gdybym go nie znalazł, byłbym pewien, że mi przywali, że zmieli me liche ciało, zgarnie na szufelkę, wysypie do reklamowy i wypierpapier prosto w próżnię. Znałem go jednak na tyle, by wiedzieć, że nie ma większego poczciwoty, gaduły i pozera na piniacza od niego. Kiedy sobie to uświadomilem, postanowiłem go nie "krzywdzić" i rzekłem pojednawczo:

- Przecież, kurka, słucham cię! Co, myślisz, że nie wiem, jak skrzypiały oficerki Kaspra? - I tum skończył, bo kiedy TAKA góra mięśni patrzy na ciebie w TAKI sposób, to stajesz się ostrożny. Zamilkłem więc i z niepokojem patrzyłem, jak gasną iskry gniewu w jego oczach.

- Sorry... - rzuciłem, a on rzekł tylko:

- A, spierd...niczaj! - Po czym rozwalil się na siedzeniu jak Lord Mord i zamknął oczy.

Wiedziałem, że nie śpi, że nie skończył. Znałem go już tyle lat. To co, że nasze drogi rozeszły się, że każdy z nas miał teraz swoje życie, swoje sprawy... Byliśmy kiedyś najlepszymi przyjaciółmi, choć żarliśmy się zawsze, jak wikkundy z Grundarii. Taki to był nasz sposób bycia. A najdziwniejsze było to, że żarliśmy się nie z potrzeby "zarcia się", ale dla zgrywy i po to, by dać upust tej drugiej stronie. Tej zlej stronie nas.

Patrzyłem sobie tak na niego i czekałem. Odemknął jedno oko i szepnął:

- Ani, kurka, słowa! Bo cię walnęę!

- Daj spokój. Gadaj dalej, bo nie zasną - powiedziałem tak bardzo poważnie, jak tylko mogłem.

Uwierzył, bo rozwarł oba ślepia i wpatrzony we mnie jął się pochylać. "Zaraz powie coś, co mi w pięty pójdzie", ale i ja pochylilem się, zrozumiawszy, że za chwilę zaszepcze coś nader poważnego.

- Mówię ci, to był diabeł... - zasyczał niespodziewanie. Odpierdolilo mu - pomyślałem i z całą powagą, na jaką było mnie stać odrzekłem:

- Nie denerwuj mnie. - To znaczyło: "Kurka, poważnie? Weź mnie nie strasz, bo ja sam w strachu". - I to na ful, powaga -dodałem.

Wiedziałem, że jak nie odpowiem w ten sposób, to albo pójdzie nazad spać i nie odezwie się już więcej, albo dostanę w ryj i ja się więcej nie odezwę.

- Powaga! - zaczął dalej z zapalem, uwierzywszy w moje szczere zainteresowanie. - Nikt nigdy na to nie wpadł, ale JA zauważyłem, że w kilku miejscach naraz pojawia się zawsze, gdy wieje. Pierdolone wiatry! Pierdoleni Grundarianie i ich bronie, i to, że przywalili tak blisko nas... - Zaperzył się, wyraźnie się zaperzył i

dlatego wolalem się nie odzywać. - Psia jego krew! - sapnął. - Jeszcze, by było śmieszniej, doszedłem do tego, że pojawia się zawsze w czterech miejscach, w miejscach po zwalonych drzewach, na czterech narożnikach kwartałów naszego Miasteczka i wszystkie z tych drzew zwała przed czterema laty wichura.

- A mówileś, że widuje się go w wielu miejscach...

- No... tak, w wielu, ale tylko na pniakach pojawia się jednocześnie i tylko wtedy przeraża ludzi tak, że skóra cierpnie i szumi potem o nim ze dwa tygodnie. Raz nawet ludzie chcieli go zarąbać. Znasz Cwelka Kurdupelka?

- A jakże! Znałem! Piździelec...Sześć lat temu wybil mi dwa zęby. Kutas! Naklejenie protez na pozostałe pićki kosztowało mnie całą pensję. Ale cóż! Byłem młody, piękny i uroda była mi potrzebna...

Widząc, że wiem, o kogo chodzi, nie czekał dalej:

- No! Zebrało się kilku chłopaków u Binkola na piwku i tak se popijali, tak se opowiadali, aż zeszedli z "tematami" na Zenasa. I wtedy się zaczęło! Każdy miał coś do powiedzenia. W końcu nadmiar piwa wzmógł produkcję adrenaliny i zaczęli się przekrzykiwać w swych opowieściach. No i nagle Kurdupel ryknął:

"A ja wezmę skur...czysyna zarąbię!". Umilkło, wszyscy nań spojrzeli, a Kurdupel wziął się poderwał, flachę po jabolu utłukł i ruszył, nie oglądając się na koleżków.

- I co? Dorwali go?

- Śty gupi? Owszem, Kurdupel przodem, rozchwiana kom-panija za nim i ruszyli wokół Miasteczka. Szli tak od pićka do pićka i... trzeźwieli. Gdy w końcu dotarli do ostatniego, poza Kurduplem było już tylko dwóch. Też powinienes ich znać... - Machnąwszy niecierpliwie ręką, nie dałem mu skończyć. Pojął, że bardziej chcę wiedzieć, co było dalej, niż kto był na tyle nietrzeźwy, by wdawać się w awantury. - No i kiedy wreszcie wyszli za róg Starej Kamienicy, patrzą, a tam na pićku po Starej Topoli ktoś siedzi. "Hę!! K... Gnoju jeden, Zenasie Humie! Idę cię zarąbać!!!", wrzeszczy skureczysyn Kurdupel, a kolesie mu wtórują: "Ja, ja! Zarąbimy cię kutafonie", wrzeszczą i walą dalej...

- Przyspieszaj, przyspieszaj, lysa palo! - ponagliłem, bo mnie zaczynało brać zniecierpliwienie. -I co? Dorwali go?

- Yssssshe! Pewnie! A jakże! Idą, idą, drą się w niebo-giosy, patrzą, a tam na pićku siedzi nie kto inny jak...

- Zenas! - ryknąłem entuzjastycznie, chcąc pokazać, że w lot przewiduję, co ma być dalej.

- Cheiałbyś... _?

- A tam na pićku siedzi Glion Bebas. Siedzi i suszarą macha na boki, jakby nie bardzo wiedział nadjeżdżającym z której strony kieszenie wysuszyć.

- Glion... Glion... - próbowałem na głos przypomnieć sobie, o kogo to może chodzić.

- No tak, ty już wtedy nie mieszkales u nas. Glion to policjant z naszego komisariatu; ścierwo nieprzećiętne. Miast łapać gnoi, co i rusz zaczajał się na uczciwych

obywateli i tylko patrzył, który ze współzomków sunie sto dwadzieścia przez obszar zabudowany. Tak, jakby te dziesięć w jedną lub drugą robiło jakąś różnicę...

- He-he! - Zaśmiałem się porozumiewawczo, bo teraz naprawdę nietrudno było się domyślić, co będzie dalej...

- No, i Kurdupel się drze: "Zarąbie cię...! u! u!", a ten patrzy, suszarą macha, na boki się rozgląda, bo chyba nie wierzył, że to do niego. No, ale w końcu otrzeźwiał i tamci też. Stali tak chwilę naprzeciw siebie i nagle Bebas jak nie ryknie: "DOKUMENTY!". Dobrze, kurka, wiedział kogo widzi i że ci dokumentów mieć nie będą, więc albo to był odruch, albo Bebas całkiem zdur-niał. Kurdupel stoi z obtluczonym szkłem, gawiedź za nim, a naprzeciw nich prawo... - I tu nie wytrzymał, roześmiał się, a ja z nim. I śmialiśmy się tak chyba kilkanaście sekund.

- Biiity do kontroli!

A my dalej ryjemy, bośmy nie dosłyszeli. Dopiero syk uszczelnianych drzwi wyrwał nas z błogiej beztroski.

- Biiity do kontroli! - powtórzono i dopiero wtedy purpurowi ze śmiechu podnieśliśmy oczy.

Ciągle chichocząc, wstałem i sięgnąłem po neseser, wyjąłem z bocznej kieszeni plastik i wsunąłem w automat. Brzdęknęło, jęknięło, światełka mrugnęły i rozległo się beznamiętne: "dziękuję". Konduktor wyszedł i zostaliśmy sami.

- To co, dorwali go w końcu?

- Kogo?

- No, Zenasa.

- Niiie, poszli na czterdzieści osiem. A następnego dnia po areszcie Kurdupel zniknął.

- ?

- Zniknął. Pojawił się po tygodniu, ale to już nie był Kurdupel, jakiego znaleźliśmy...

"Oj! znaleźliśmy, znaleźliśmy!" pomyślałem.

- Dalej chodził na piwko do Binkola, zadawał się z koleżkami, ale łagodny był jakiś taki... Nie ON.

- Mówił co?

- W tym rzecz! Gadał jak zawsze, śmiał się i w ogóle, ale to nie był on.

- Jak to? - Zaczynał mnie wkurzać.

- Po prostu. Wcześniej, jak Kurduplowi nie przytakiwałeś, to dostawałeś po ryju. Odkąd pojawił się po zniknięciu, uspokoił się.

- Gadał z nim kto... wypytywał?

- A jakże! Nawet ja sam próbowałem go zagadać.

- I..?

- I nic! Belkotal coś do kolejnych flaszek, które mu stawiałem i nie!

- Kompletnie nie?

- No, na końcu, nim stoczył się pod stół, lypnął na mnie przekrwionym okiem, bo drugie coś nie chciało nadażyć za tym od mojej strony, i blubnął: "K... Byłem, Łysy, k... w piekle" i rypnął. Wywlokłem go na zewnątrz, głębę obtlukłem, a kiedy się ocknął, udał się przez krzaki do Rygi. Nim się spostrzegłem, Kurdupel jął wiać. Dorwałem go oczywiście, chwyciłem za

szmatki i pytam: "Co jest?". Zerknął na mnie, szarpnął się i kiedy stanął na własnych nogach, sapnął: "Łysy, wiesz co? Spierdalaj!" i tyłem się dowiedział.

- Trza go było rąbnąć!

Spojrzał na mnie i nic nie odpowiedział.

- To co, co było z tym Humem? Dowiedziałeś się czegoś w końcu? - zapytałem.

- Ooo tak! _?

- Sam na niego kiedyś zapolowałem. Zaraz po tej akcji z Kurdupłem. Mówię sobie: "Dość tego!". Wziąłem maszynę między nogi i dawaj po Miasteczku. Jeździłem tak ze dwa tygodnie i nic. Aż tu jednego razu, kiedy postanowiłem sobie dać wreszcie spokój, idę późnym wieczorem do Binkola na piwo. Idę, patrzę, a tu na pieńku po Starym Klonie siedzi ktoś. Serdu-cho mi aż do gardła podskoczyło. Ale nie, mówię sobie, idę dalej. "Dobry wieczór", zaczynam grzecznitko. A tu nic. Dmuchięło tylko, kurz się zakręcił, a że ciemnawo już było, skórka mi trochę ścierpła i nieswojo jakoś mi się zrobiło. Tamten ani drgnie, tylko kapota mu zafurkotała. Podchodzę bliżej, może miałem jeszcze pięć kroków do niego, gdy zaczęło się nagle ciemno robić. Mało, że słońce już zaszło, to jeszcze jakieś takie chmurzyska skądś się wzięły... Ale nie! Twardo idę dalej i jeszcze raz zagajam: "Dobry wieczór", mówię do jego pleców, bo teraz dopiero zauważyłem, że siedzi do mnie tyłem. Drgnął, odwraca powoli tę swoją białą jak kreda głębę w moją stronę i uśmiecha się. Ale, kurka, tak jakoś zimno, tak szyderczo, że już miałem niemal nawalone. Na dobre nawaliłem dopiero za chwilę. Nagle bowiem, jak nie pierdyknąć, ni z tego ni z owego. To wtedy zapalił się semafor koło Budki Żrumola. Omal wtedy nie ogłuchłem, a gdy błyskawica rozjaśniła niebo, jego głęba na chwilę znikła i tak sobie migala, pojawiając się i przygasając w takt, jak kolejne gałęzie pioruna rozświetlały się, rozszczepiały i gasły. I ten lodowaty uśmieszek... Anim myślał czekać na ciąg dalszy. Jeszcze tak nogami nie przebierałem, a za mną tuman śnieżnego pyłu pchany lodowatym podmuchem. Nagle dogonił mnie, otoczył, a ja gnałem jak szalony, na wpół ślepy i głuchy, i tak przerażony, jak nigdy dotąd. Sam nie wiem, jak długo biegłem... Byłem dalej i szybciej. Byłem uciciec, byłem nie dać się pochwycić... zatrzymać...

- Przypadek... - odezwałem się cicho, ale nie dał mi dokończyć.

- Ładny przypadek! Do dziś mam ślady po odmrożeniach! Mam ci, kurka, pokazać? Uskakiwałem jak zając! I ten ścigający mnie chichot! Jeszcze dziś go słyszę: "Tssshooo? Chésiiialbyś zajrzeć mi do kieszeni? Hh Hh Hhhh". Nawet nie mogłem wtedy myśleć ze strachu. Kiedy wpadłem do domu i matka mnie zobaczyła, przeżegnała się. Nie pytała o nic, tylko porwała mnie w ramiona i ścisnęła tak mocno, że omal mnie nie udusiła. Pierwszy raz od piętnastu lat spałem u jej boku i trzymałem ją za rękę.

Strach udzielił mi się, siedziałem z rozdziawioną głębą i wlepiam w niego gały. Ciekawość jednak zwyciężyła i zapytałem w końcu:

- I co? Co dalej?

Podniósł na mnie wilgotne oczy, pośpiesznie otarł je rękawami i jakby dodatkowo chciał naprawić tę małą "niemęskość" -uśmiechnął się blade. Mnie, niestety, nie było do śmiechu, zaczynałem mu, kurka, wierzyć, i... naprawdę się bać.

- E - bąknął. - Wlazłem na niego następnego dnia. Siedział w tym samym miejscu, obrócony w tę samą stronę i kiwał się w przód i w tył.

- Gadałeś z nim?

- A czy z nim kto kiedy pogadał?

- Więc co? Może, kurka, to wcale nie był ON?

- Nie, wuj, TO BYŁ ON! Był dzień, ludzi naokoło pełno... Przelamałem się i podszedłem do niego, stanąłem naprzeciw jego bladej głęby i patrzę. Ślepią miał zamknięte, ani na mnie spojrzy. Stałem tak ładną chwilę i przyglądałem mu się; zebrałem się w końcu na odwagę, by się odezwać, ale nie wiedziałem kompletnie co powiedzieć, od czego zacząć... Miałem powiedzieć:

"Cześć Zenas, aleś mnie, kurka, wczoraj nastraszył?"

- Było zawołać policję. - Palnąłem głupotę. Oj, była to głupota! Ależ na mnie spojrzal!

- Policję... Ty chyba gupkowaty jesteś. I co bym im powiedział? "Panowie policjanci, oto Zenas Hum! Wczoraj sprawił, że o mało narąbałem w gacie ze strachu". "Czy groził panu?" "Nie, tylko siedział, a leb mu znikal i pojawiał się! A poza tym wywołał burzę gradową i odmroził mi dupę". Ty, człowieku, myśl czasami, zanim co powiesz.

Nie ukrywam, że zrobiło mi się głupio:

- Mówiłeś, że lydki...

Tu zachowałem się właściwie: zrobiłem głęboki unik, ale nie cieszyłem się długo, bo kiedy oglądałem sobie sznurowadła, coś pacnęło mnie przez potylicę.

- Znów zaczynasz...

- Sorka, niechcący... - zacząłem się kajać. - Tak jakoś wyszło. No i co w końcu? Odezwał się?

- Jeszcze nie.

- Co jeszcze nie"? - zapytałem, bo pomyślałem, że mówi o sobie, że jeszcze nie "dojrzał", by ze mną rozmawiać, ale on już ciągnął dalej:

- Jeszcze się nie odezwał. Już miałem dać sobie spokój i odwrócić się, gdy nagle przestał się kiwać.

- I odezwał się w końcu?

- Nie, jeszcze nie. Zatrzymałem się w pół kroku, poprawiłem pozycję i czekam. A ten nie. Już mam odejść, gdy naraz otworzył oczy i uśmiechnął się do mnie, ale tak, że mnie wmurowało. Już wiedziałem, że ani ten piękny dzionek mi nie pomoże, ani ci ludzie, co na nasz widok zawracali albo przechodzili na drugą stronę chodnika. Nagle pojąłem, że jestem samusienki, sam na sam z NIM.

- I co, i co?

- A co? Byłeś kiedyś w zoo?

Kiwnąłem twierdząco głową, choć było to bardzo, bardzo dawno temu, kiedy w ogrodach żyło jeszcze parę sztuk zwierzyny. Teraz to nawet nie bardzo jest po co tam chodzić...

- A kobrę widziałeś? - ciągnął, nie czekając, aż zbyt wiele sobie przypomnę.

O tak! Kobrę pamiętałem dobrze. Stałem przed grubą szybą terrarium i patrzyłem, jak gdzieś z góry zsunął się szczur. Pamiętałem, jak płaz poderwał się i rozpostarł kaptur, a szczur znieruchomiał. Nawet nie wiem, czy to była pora karmienia, czy gryzoń wpadł tam przypadkiem, bo szczurów jakoś cywilizacja i wojny nie mogły przerzedzić. Było ich wszędzie zatrzęsienie, szczególnie w zoo. Drgnąłem wówczas nerwowo, bo chciałem zawołać ojca, by podszedł popatrzeć i w tym momencie kobra odwróciła się w moją stronę. Kiwała się na boki wpatrzona we mnie. Zamarłem. Światło w pomieszczeniu było lekko ściemnione, a szyba była tak czysta, że właściwie niewidoczna. Stałem tam jak zamurowany, gdy naraz podszedł ojciec: "Co chciałeś synku?" zapytał i wyrwał mnie z hipnozy. Poruszyłem się i w tym samym momencie z zębów jadowych stworza trysnęła mgielka, a w ułamek sekundy później coś klapnęło w szybę. Długi i gruby jak ręka kształt odpelzł wolno w kierunku drgającego szczura. Terrarium było małe, słabo wentylowane i mgła jadu przeznaczona dla mnie opadła na polnego gryzonia, paraliżując go na chwilę.

O tak! Widziałem kobrę.

- No! - przytaknąłem.

- A widziałeś, jak się gotuje do ataku?

- Aż nazbyt z bliska...

- No, to tak się wtedy poczułem. Tyle, że oczy miał gorsze niż kobra: białe, jak ugotowane, z wąskimi, granatowymi, poziomymi szparkami miast źrenic. I te usta: fioletowe jak burzowe chmury podświetlone luną zachodzącego słońca. Człowieku! Jeszcze teraz dostaję gęziej skórki na samo wspomnienie. Jego wargi poruszyły się i usłyszałem syk, bo tego nikt normalny i przy zdrowych zmysłach nie nazwałby mową: "I tssshoooo? Chésiiiialbyś zajrzeć mi do kieszeni? Hh Hh Hhhhhh". I patrzy mi w oczy, i ani drgnie, tylko ten martwy uśmiezek... Musiałem wtedy wyglądać jak sam Bebas, bo czulem wyraźnie, że każdy włoszek sterczy mi na grzbiecie "na baczność" i wypycha ubranie. Jak ja się wtedy bałem! No, ale nie się więcej nie działo, więc ile można stać i się trząść? Zaczynałem wolniutko odzyskiwać rozsądek. W końcu sam tego chciałem. Gdyby nie mój genialny koncept, by napytać sobie biedy, nigdy by do tego nie doszło. "Kim ty jesteś? Skąd się wziąłeś? Czego od nas chcesz?", wyjąkałem. Gęba mu się rozlazła jeszcze bardziej, a fioletowe usteczka poruszyły się: "Chcesz wiedziećccc? Na pewno chcesz to wiedziećccc?". Kiedy to mówił, kątem oka dostrzegłem skupiających się wokół nas ludzi.

Uniósł rękę, widząc, że zaczynam się wiercić, by coś powiedzieć. Poprawiłem się więc tylko i przymknąłem na wpół otwarte usta.

- Nie, wuja, nie! Ludzie stali, owszem, i gapili się, owszem, ale by przyjrzeć się walczącym, wściekłym wiskundom podeszli-by bliżej. Poustawiali się tak daleko od nas, że nawet kiepsko dalo się poznać, kto

jest kto. Niemniej poczułem się trochę pewniej. Spojrzałem znów na niego i znów przestało mi być do śmiechu. A jemu, widać, owszem. Tyle tylko, że gdybym nie miał nóg jak z waty, wydarlbym stamtąd szybciej niż pchła zmienia pieska.

- Co, ugryzł cię? - wciąłem się jednak.

- Pss! Gdybym w tamtej chwili choćby pomyślał, że może mnie ugryźć tym, co pojawiło się w jego gębie, to nie rozmawialibyśmy dzisiaj...

-?

- ...bo niechybnie dostałbym zawału. Patrzę ci ja na niego, patrzę, i nie mogę się polapać, co właściwie widzę. Nie wierzę w to, co widzę! Zębiska! Czarne i ostre jak, poustawiane jedna obok drugiej, przelamane na pół wykalaczki. Kiedy spojrzałem nań pierwszy raz, były tycie - tu lekko rozchylił dwa palce - jakby się dopiero zaczynały wyrzynać z białych dziąseł. Wyglądały jak mikrusia palisada, ale w miarę jak gęba mu się rozdziawiała, rosły, rosły! rosły!! Aż stały się tak ogromne, że dalbym się pociąć, że przegryzłby mnie na pół, gdybym tylko z jakiegoś powodu znalazł się między nimi. Naraz, gdzieś daleko huknęło. Potem się okazało, że jakichś dwóch palantów (na szczęście nie miejscowi) zagapilo się na tłum i wjechało na siebie. Marmolada! Nie było co zbierać. Daj spokój! Nawet jeśli zwolnili do osiemdziesiąt....

- Skończ, kurka! Wiem, co mogło z nich zostać!

- No! I wtedy się ocknąłem. Gęba mu się z powrotem zamknęła w fioletową kresczkę, ale uśmiezek pozostał. Nagle wargi znów mu zafalowały i odezwał się: "To tssshoooo? Chésiiiiai-byś zajrzeć mi do kieszeni? Hh Hh Hhhhhh". Na "miękkich" nogach podszedłem bliżej i powiedziałem, starając się jednocześnie, by głos mi nie drzał, choć pewien jestem, że to mi się nie udało: "Chęc". A co miałem zrobić? Gapiów naokoło pełno... Głupio byłoby się później tłumaczyć. "Nhooo to podejdz jeszcze-cze bhliżej i zajszszzyj", zasapał i wstał. Nie, właściwie poderwał się... Nie, właściwie to jak siedział, tak nagle stał. Nie zauważyłem momentu, kiedy się podnosił; kłęby kurzu zawirowały wokół nas, chmury zasnuły niebo, a mi zrobiło się tak zimno, że już w końcu nie wiedziałem, czy trzęsę się ze strachu czy z zimna. Złapał za lewą połę płaszcza i uniósł jaw górę, prawą ręką natomiast sięgnął do wewnętrznej kieszeni i uchylił ją. Wylalo się z niej seledynowe światło i rozlało jak gęsta, fluorescencyjna ciecz wokół rozwartego otworu. Już nie miałem ochoty tam zaglądać, ale szedłem dalej i coraz wyraźniej słyszałem jęki, syki, wizgi, jakby głosy wichur z wszystkich tysięcy lat naszej cywilizacji naraz ozwały się na nowo.

Milczał przez chwilę. Milczenie przeciągało się, a ja zaczynałem nerwowo szurać nogami i patrzeć na niego w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

- I co?!

- Co ma niby być dalej? Spodziewasz się, kurka, czego?

- No i jak się to skończyło?

- A jak się miało skończyć? Znaleźli mnie tydzień później przegryzionego na pół. Trzy dni w szpitalu leżałem, zanim mnie pozbierali.

- Teraz to ty mnie chcesz zdenerwować... - Nim skończyłem, ten już stał na nogach i lapał się za lewą połę kapoty.

Żeby go jasna i nagle krew załala! Zesztywniałem! Ten patrzył mi w oczy i mówi:

- Chcesz zobaczyć, co mam w kieszeni?

Żeby go wścickłym wizkondom Grundarianin na pożarcie rzucił, i to ubranego, by zanim mu bestie bebechy wywloką, mógł sobie te parę chwil wyczekiwania urozmaicić wyobrażaniem tego momentu! Aż by go!

Tak weisnałem się w oparcie siedzenia, że w domu koszula od pleców nie chciała mi odejść. A ten stoi nade mną i sięga prawą ręką do wewnętrznej kieszeni. Ślepa to mi na wierzch chciały wyskoczyć! Patrzył w tym momencie, gdzie sięga, jednak na moment spojrzal na mnie i zamarł z łapą w kieszeni.

- Co ty! Co ci? Źle się czujesz? - zapytał, a ja łamiąc swój sztywny z przerażenia kark, zmusiłem szyję do kilku przeczących ruchów głową. Wzruszył ramionami i wyszarpnął z wewnętrznej kieszeni portfel, klapnął obok mnie i jał grzebać w jego zawartości.

- Patrz! - powiedział i wyrwawszy z przegródki wyciagnął palcami biały rożek jakiejś kartki, podstawił mi przed oczy.

Spojrzałem, a tam jakiś berbec w koronkach, ze smoczkiem w pulchnej różowej główce, na kolanach u jakiejś kobiety.

- A, kurka, to nie to! Tu ja z mamą, kiedy miałem roczek. Gębę jeszcze ocierałem z zimnego potu, więc tylko ze zrozumieniem potaknałem i obserwowałem, jak tym razem uważnie

sortuje coś w portfelu.

- No! - Sapnął zadowolony z rezultatów poszukiwań, wyciągnął zdjęcie i podetknął mi je pod nos.

Tym razem wypadaloby zacytować mocne słowo na "k", które mi się wówczas wyrwało na widok tego, co było na zdjęciu. Ale po co? Na zdjęciu był Łysy. Leżał na noszach, a w łapach trzymał swoje flaki. Na samym wierzchu leżał żołądek, który troskliwie przytrzymał dłońmi. Zawsze lubił dobrze zjeść, pomyślałem wtedy. Jedną z nóg dolnej części ciała, która leżała oddzielnie, to znaczy nieco niżej na noszach od górnej części, wypadła za krawędź i zwisała obuta w biały, sportowy but.

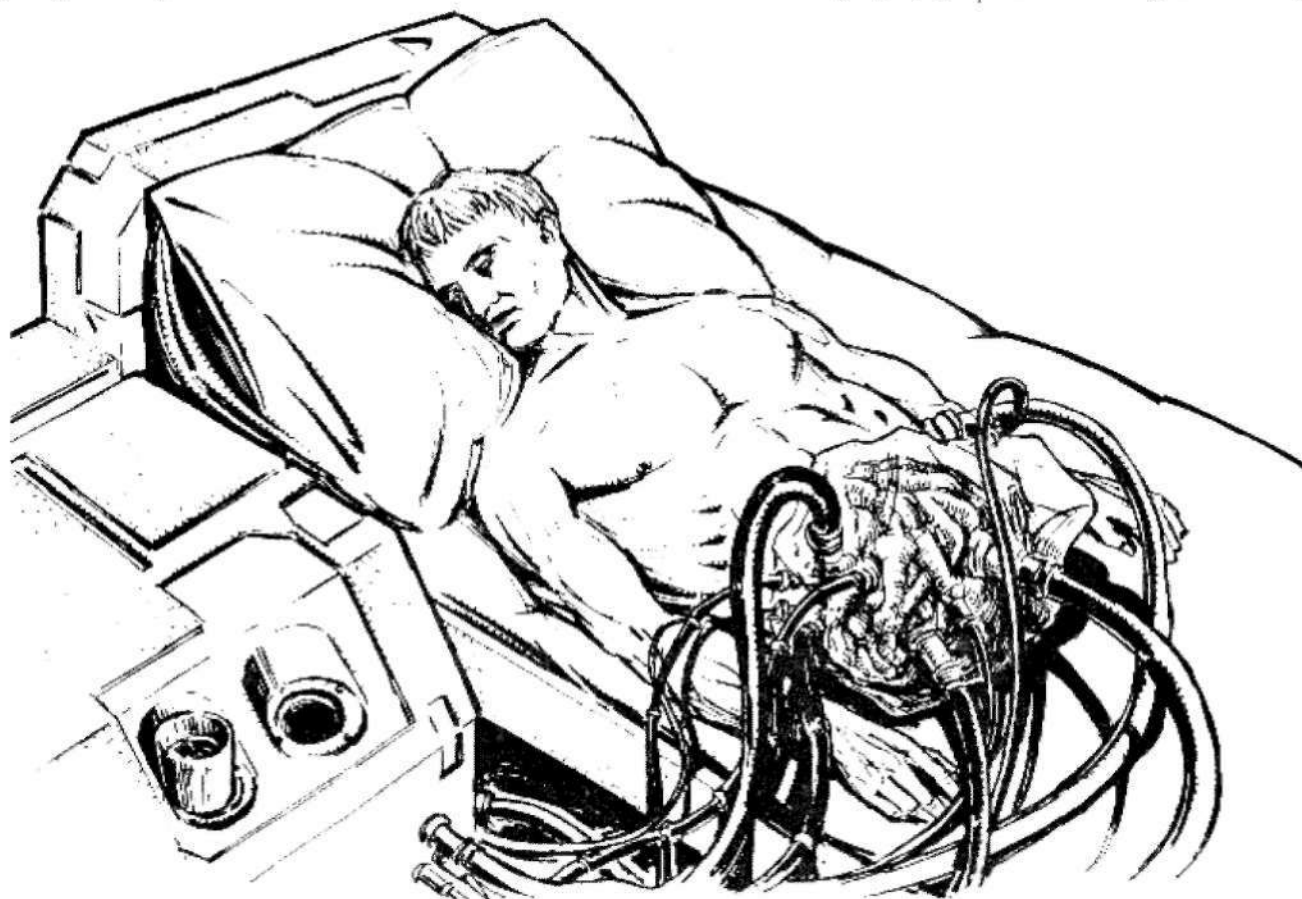
- No i co ty na to? Nieźle się prezentowałem, co nie? - zapytał, a ja dalej mamrotałem pod nosem owo mocne słowo i przyglądałem się zdjęciu ze wszystkich stron.

- Jakim cudem ty jeszcze żyjesz? - Zmieniłem wreszcie płytę.

- Ba! Sam chciałbym wiedzieć. Powiedziałem im podobno, by mnie pozszywali i koniec. Ktoś nawet zdjęcia porobił, bo widać też sobie to pytanie zadawali...

- Jak to: "podobno"?

- Podobno, bo widzisz, ja nic z tego nie pamiętam. Obudziłem się na trzeci dzień i kiedy opowiedziano mi, co ze mną było, pokazano mi nagranie i zdjęcia,



chciałem ich obić za to, że robią ze mnie wala. Ale

wolniutko zacząłem sobie przypominać wszystko do momentu, kiedy Zenas Hum pokazał mi, co ma w kieszeni.

- I co w końcu miał?

- Czy ty mnie słuchasz? Mówię przecież, że nie wiem.

- Jak, kurka, "nie wiem"?

- No, nie wiem! Nie wiem i tyle!

Raz jeszcze rzuciłem okiem na zdjęcie i oddałem mu je.

- Może to pic i fotomontaż?

- Fotomontaż?! To też jest fotomontaż? - Bez namysłu lapnął się na krzyż z boku za ubranie i jednym ruchem podciągnął je do góry.

O mało się nie wyrzygałem. Na wysokości pępka jego tułów obiegał postrzępiona linia. Platy różowego mięsa gdzieś wylazły pomiędzy rozchylonych brzegów niezaciągniętej skóry i zlewały się z sinymi, pionowymi krechami szwów.

- Schowaj to człowieku, bo rzeczywiście niezbyt się czuję... - sikiąłem płaczliwie. Posłuchał. - Nie mogli cię posklejać? Wyglądasz jak dzieło artysty chirurga-maniaka...

- Ano nie mogli. Tylko nici trzymały. Żaden klej nie chciał "chwycić", a w restrukturyzatorze podobno zaczynałem się gotować - odparł, po czym wyraźnie zmęczony i zrezygnowany, wolno przesiadł się na swoje miejsce.

Przez chwilę milezeliśmy.

- No, a co z Humem? Widziałeś go jeszcze kiedyś? Dowiedział się ktoś czegoś o nim? - zacząłem znów drążyć. Spojrzał na mnie i szepnął cicho:

- Byłem w pickle... Co z Humem? A gówno mnie to obchodzi! Wyprowadziłem się z Miasteczka i jesteś pierwszą osobą, z którą na ten temat rozmawiam.

- Czemu mówisz, że byłeś w pickle? Coś jednak pamiętasz?

- Nie, wuja, nie. Nie pamiętam nic poza bólem... Popatrzyłem na niego ze zrozumieniem. Już wiedziałem, że się niczego więcej nie dowiem. Rozparłem się w fotelu i myślałem o tym wszystkim. W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, jak to zrobił, że nie skasował biletu. Spojrzałem na niego i już chciałem go o to zapytać, ale spał tak smacznie. Po chwili w końcu też przysnąłem.

Nie minęło nawet pół godziny, gdy rozstawaliśmy się na płycie portu. Uściskałem go. Syknął lekko, kiedy

"tak po naszymu" wymierzyłem mu markowany cios pięścią w brzuch. Nic jednak nie powiedział.

Pożegnaliśmy się w końcu na dobre i rozeszliśmy każdy w przeciwnym kierunku. Po kilku krokach obejrzałem się, by raz jeszcze spojrzeć za odchodzącym przyjacielem, bo wszechświat jest ogromny i kto wie, czy jeszcze kiedyś się spotkamy...

Stał tam w świetle lądującego statku, w rozwianym płaszczu i założyłbym się, że nie miał głowy. Pojawiała się dopiero, kiedy smuga oślepiającego blasku zaczęła ześlizgiwać się z jego twarzy.

Uśmiechał się do mnie, a jego usta były fioletowe.

A może, kurka, mi się wydawało...

Grzegorz Buchwald

